

POŚLANIEC

Dla Scout

M A R K U S Z U S A K

POŚLANIEC

Przełożyła Anna Studniarek

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału
The Messenger

Text © Markus Zusak 2002

© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2009

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*
Zdjęcie na okładce © Joanna Jankowska / Trevillion Images

Część pierwsza: PIERWSZA WIADOMOŚĆ



A Napad

Napastnik jest beznadziejny.

Ja to wiem.

On to wie.

Cały bank to wie.

Nawet mój najlepszy kumpel Marvin to wie, a on jest bardziej beznadziejny niż napastnik.

Najgorsze w całej sytuacji jest to, że samochód Marvina stoi na zewnątrz w strefie parkowania do piętnastu minut. Wszyscy leżymy twarzami do ziemi, a jego auto ma jeszcze tylko kilka minut zapasu.

– Gość mógłby się pospieszyć – mówię.

– Wiem – odpowiada szeptem Marv. – To oburzające. – Jego głos wznosi się znad podłogi. – Dostanę mandat przez tego żalosego sukinsyna. Nie mogę sobie pozwolić na kolejny mandat.

– Samochód nawet nie jest tego wart.

– Co?

Marv odwraca się w moją stronę. Widzę, że zaczyna się wkurzać. Wręcz wściekać. Jeśli jest coś, czego nie trawi, to obrażanie jego samochodu. Powtarza pytanie:

– Co powiedziałeś, Ed?

– Powiedziałem – szepczę – że nawet nie jest wart mandatu.

– Posłuchaj, Ed, dużo mogę znieść, ale...

Ignoruję go, bo szczerze mówiąc, kiedy Marv zaczyna gadać o swoim aucie, działa mi na nerwy. Gada i gada, jak dzieciak, a przecież, na litość boską, ma już dwadzieścia lat.

Nawija tak całą minutę, aż muszę mu przerwać.

– Marv, ten wóz jest żalosny, jasne? – rzucam. – Nie ma nawet ręcznego... stoi tam z dwoma ceglami pod tylnymi kołami. – Próbuję mówić jak najciszej. – Zwykle go nie zamykasz. Pewnie masz nadzieję, że ktoś go zwinie, a ty zainkasujesz ubezpieczenie.

– Nie jest ubezpieczony.

– No właśnie.

– Agent stwierdził, że to się nie opłaca.

– Pewnie.

Wtedy napastnik się odwraca i wrzeszczy:

– Kto tam gada?!

Marva to nie wzrusza. Cały czas myśli o samochodzie.

– Ed, ty żalosny żółtodziobie, nie narzekasz, kiedy podrzucam cię do roboty.

– Żółtodziobie? Co to, do diaska, znaczy „żółtodziób”?!

– Powiedziałem, zamknąć się tam! – krzyczy znów napastnik.

– **TO SIĘ POSPIESZ!** – ryczy w jego stronę Marv. Nie jest w nastroju. Zupełnie nie jest w nastroju.

Leży twarzą do ziemi na podłodze banku.

Trwa napad.

Jest nienaturalnie gorąco jak na wiosenny dzień.

Klimatyzacja się popsuła.

Jego samochód został właśnie obrażony.

Staruszek Marv znajduje się na skraju wytrzymałości nerwowej, na krawędzi. Nieważne, jak to nazwiecie – jest cholernie wkurzony.

Patrzmy na siebie ze złością na wytartym, zakurzonym niebieskim dywanie banku. Nasz kumpel Ritchie leży pod stołem z lego, pomiędzy klockami, które spadły na ziemię, kiedy gość wbiegł do środka. Audrey jest tuż przy mnie. Stopą przyciska moją nogę, czuję już drętwienie.

Napastnik wycelował pistolet w jakąś biedną dziewczynę za ladą. Na piersi ma ona plakietkę z imieniem „Misha”. Biedna Misha. Trzęsie się niemal tak samo jak ten koleś, podczas gdy jakiś przyszczaty dwudziestoparolatek pod krawatem, z plamami potu pod pachami, napełnia torbę pieniędzmi.

– Chciałbym, żeby ten gość się pospieszył – marudzi Marv.

- Już to powiedziałem – mówię.
- To co? Nie mogę wyrazić swojego zdania?
- Zdejmij ze mnie stopę – proszę Audrey.
- Co? – pyta.
- Powiedziałem, żebyś zdjęła ze mnie stopę. Noga mi drętwieje. Rusza się. Niechętnie.
- Dzięki.

Napastnik odwraca się i po raz ostatni wykrzykuje pytanie:

- Który sukinsyn tam gada?!

Jeśli chodzi o Marvinę, trzeba pamiętać, że nawet w najlepsze dni sprawia problemy. Jest kłótlivy. Niezbyt uprzejmy. To taki przyjaciel, z którym człowiek ciągle się kłóci – zwłaszcza jeśli chodzi o jego złomowatego forda falcona. Do tego potrafi być z niego całkiem nie-dojrzały dupek.

Woła figlarnym tonem:

- Ed Kennedy, proszę pana! To Ed gada!
- Dzięki! – Zgrzytam zębami.

(Nazywam się Ed Kennedy. Mam dziewiętnaście lat. Jestem młodocianym taksówkarzem. Przypominam wielu młodych ludzi, których spotykacie na przedmieściach – nie mamy zbyt wielkich perspektyw ani możliwości. Poza tym czytam stanowczo za dużo książek i zdecydowanie nie radzę sobie z seksem oraz płaceniem podatków. Miło mi państwa poznać).

– Zamknij się, Ed! – wrzeszczy napastnik. Marv uśmiecha się krzywo. – Albo tam podejść i odstrzelę ci tyłek!

Teraz czuję się zupełnie jak w szkole, gdzie sadystyczny matematyk wykrzykiwał rozkazy z przodu sali, choć tak naprawdę nic go nie obchodziło, czekał tylko na dzwonek, żeby móc pójść do domu, napić się piwa i tyć przed telewizorem.

Patrzę na Marvę. Mam ochotę go zamordować.

- Masz dwadzieścia lat, na litość boską! Chcesz, żeby nas zabił?
- Zamknij się, Ed! – Gość drze się coraz głośniej.

Ja szepczę coraz ciszej:

– Jeśli zostanę postrzelony, to będzie twoja wina. Wiesz o tym, prawda?

- Powiedziałem, zamknij się, Ed!
- Wszystko jest wielkim żartem, co, Marv?
- Dobra, wystarczy.

Napastnik zapomina o kobiecie za ladą i podchodzi do nas wściekły jak cholera. Kiedy się zbliża, spoglądamy na niego.

Marv.

Audrey.

Ja.

I wszystkie inne żalosalne typki rozrzucone na podłodze.

Lufa pistoletu dotyka mojego nosa. Zaczyna mnie swędzieć. Nie drapię się.

Koleś patrzy to na mnie, to na Marva. Przez pończochę na jego twarzy widzę rude wąsy i blizny po trądziku. Ma małe oczka i wielkie uszy. Pewnie rabuje bank, żeby odplacić światu za wygrywanie przez trzy lata z rzędu lokalnego konkursu brzydoty.

– To który z was jest Edem?

– On – odpowiadam, wskazując Marva palcem.

– Ależ nie – sprzeciwia się Marv, a jego mina świadczy o tym, że nie boi się tak bardzo, jak powinien. Wie, że obaj bylibyśmy już martwi, gdyby napastnik nie okazał się taki żalosalny. Mój kumpel spogląda na zakrytą pończochą twarz mężczyzny i zaczyna: – Zaraz... – Drapie się po brodzie. – Wyglądasz znajomo.

– Dobra – przyznaję się. – To ja jestem Ed.

Ale gość skupia się na tym, co ma do powiedzenia Marv.

– Marv – szepczę głośno – zamknij się.

– Zamknij się, Marv – mówi Audrey.

– Zamknij się, Marv! – krzyczy Ritchie z drugiego końca sali.

– A kim ty, do diabła, jesteś?! – woła napastnik do Ritchiego. Odwraca się, żeby zobaczyć, kto się odezwał.

– Jestem Ritchie.

– Zamknij się, Ritchie! Nie zaczynaj!

– Nie ma problemu – odpowiada ten sam głos. – Dzięki. – Wszyscy moi kumple to idioci. Nie pytajcie mnie dlaczego. Czasami tak już po prostu jest.

Tak czy inaczej, gość zaczyna się gotować. Wydaje się, że złość wypływa przez pończochę na jego twarzy.

– Mam tego cholernie dosyć! – warczy. Słowa płoną na wargach.

Marva to jednak nie ucisza:

– Myślę – ciągnie – że mogliśmy chodzić razem do szkoły czy coś w tym rodzaju, wiesz?

– Chcesz umrzeć, prawda? – rzuca nerwowo napastnik. Wciąż jest wściekły.

– Cóż, właściwie chciałbym tylko, żebyś zapłacił za mnie mandat – wyjaśnia Marv. – Mój samochód stoi w strefie parkowania do piętnastu minut. A ty mnie tu zatrzymujesz.

– Cholerna prawda! – Koleś celuje z pistoletu w mojego kumpla.

– Takie nastawienie naprawdę nie jest konieczne.

„O Boże – myślę. – Kompletnie mu odbiło. Zaraz dostanie kulkę w głowę”.

Napastnik wygląda przez szklane drzwi, próbując zgadnąć, który samochód należy do Marva.

– Który to? – pyta, całkiem grzecznie, muszę przyznać.

– Tamten jasnyniebieski falcon.

– Ten złom? Nawet bym się na niego nie odlał, nie wspominając o zapłaceniu mandatu.

– Zaraz, chwileczkę. – Marv znów się obraża. – Skoro napadasz na bank, chyba mógłbyś chociaż zwrócić mi kasę za mandat, nie?

Tymczasem...

Pieniądze czekają na ladzie i biedna Misha woła napastnika. Ten odwraca się i rusza w jej stronę.

– Pospiesz się, suko! – warczy, kiedy dziewczyna podaje mu torbę. Zakładam, że to obowiązkowy ton głosu podczas napadu. Z pewnością oglądał właściwe filmy. Wkrótce kolejny raz podchodzi do nas.

– Ty! – krzyczy do mnie. Znalazł w sobie nową odwagę, gdy dostał pieniądze. Ma właśnie walnąć mnie kolbą pistoletu, kiedy coś na zewnątrz przyciąga jego wzrok.

Przygląda się uważnie.

Przez szklane drzwi.

Po jego szyi spływa duża kropla potu.

Gość dyszy ciężko.

W głowie ma mętlik.

I wybucha:

– Nie!

Policjanci nie mają pojęcia, co się dzieje w banku (wieści jeszcze się nie rozeszły). Rozmawiają z kierowcą złotej torany, który zastawił kogoś pod piekarnią po drugiej stronie ulicy. Samochód odjeżdża, po nim radiowóz, a beznadziejny napastnik zostaje z workiem pieniędzy. Jego transport się ulotnił.

Koleś wpada na pomysł.

Znów się odwraca.

W naszą stronę.

– Ty! – rozkazuje Marvowi. – Dawaj kluczyki.

– Co?!

– Słyszałeś mnie.

– Ten samochód to antyk!

– To kawał złomu, Marv! – wrzeszczy. – A teraz daj mu kluczyki albo sam cię zabiję!

Marv sięga z niezadowoloną miną do kieszeni i wyciąga kluczyki.

– Bądź ostrożny – błaga.

– Obciągnij mi – odpowiada napastnik.

– To nie jest konieczne! – woła Ritchie spod stołu.

– Zamknij się! – odkrzykuje napastnik i biegnie.

Jego jedyny problem polega na tym, że samochód Marva ma mniej więcej pięcioprocentową szansę na zapalenie za pierwszym razem.

Koleś wypada przez drzwi banku i kieruje się w stronę falcona. Potyka się i upuszcza pistolet niedaleko wyjścia, ale postanawia uciekać bez niego. Przez krótką chwilę widzę panikę na jego twarzy, gdy podejmuje decyzję, czy podnieść broń, czy ruszać dalej. Nie ma czasu, więc zostawia ją i biegnie.

A my dźwigamy się na kolana i obserwujemy, jak zbliża się do samochodu.

– Patrzcie tylko. – Marv chichocze.

Audrey, Marv i ja nie odrywamy wzroku od sceny na zewnątrz. Ritchie idzie w naszą stronę.

Napastnik zatrzymuje się i usiłuje domyślić, którym kluczykiem otworzyć auto. Wtedy zaczynamy śmiać się z jego niekompetencji.

W końcu dostaje się do środka i stara się uruchomić samochód, ale mimo wielu prób mu się to nie udaje.

Wtedy...

Z jakiegoś powodu, którego nigdy nie zrozumie...

Wybiegam, podnosząc po drodze pistolet. Kiedy gnam na drugą stronę ulicy, patrzę gościowi w oczy. Chce się wydostać z falcona, ale na to jest już za późno.

Stoję przy drzwiach ford.

Celuję w głowę napastnika.

Zamiera.

Obaj zamieramy.

Próbuje wysiąść i uciec, a ja, przysięgam, nie mam bladego pojęcia, że strzelam, aż do chwili, gdy podchodzę bliżej i słyszę brzęk pękającego szkła.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy żałośnie Marv z drugiej strony ulicy. Jego świat się wali. – Strzelasz do mojego samochodu!

Rozbrzmiewają syreny.

Napastnik pada na kolana.

Mówi:

– Ale ze mnie idiota.

Mogę się tylko zgodzić.

Przez chwilę żal mi go, ponieważ uświadamiam sobie, że prawdopodobnie patrzę na największego pechowca na ziemi. Po pierwsze, napada na bank, w którym są tak nieprawdopodobnie głupi ludzie jak Marv i ja. Później jego transport znika. A kiedy myśli, że ma szczęście, bo wie, skąd wziąć inne auto, okazuje się ono najbardziej żalonym samochodem na całej półkuli południowej. Właściwie chyba mu współczuję. Wyobraźcie sobie to upokorzenie.

Gdy gliniarze zakuwają faceta w kajdanki i odprowadzają, odwracam się do Marva.

– Widzisz? – pytam. Po chwili ciągnę z większym naciskiem, głośniejsze: – Widzisz? To właśnie dowód na to, jaki żalony masz samochód. – Wskazuję falcon. Przerywam na chwilę, żeby mój kumpel się nad tym zastanowił. – Gdyby był choć trochę lepszy, temu gościowi udało by się uciec, prawda?

Marv musi przyznać mi rację.

– Pewnie tak.

Nie wiem, czy nie wolałby, żeby napastnik zdołał zwać. To przynajmniej dowiodłoby użyteczności auta.

Na ulicy i siedzeniach samochodu leży mnóstwo odłamków szkła. Próbuję ocenić, czy w gorszym stanie jest szyba, czy Marv.

– Hej – mówię – przepraszam za okno.

– Nie ma sprawy – odpowiada.

Pistolet wydaje się ciepły i lepki, jakbym w ręce trzymał rozpuszczającą się czekoladę.

[...]

Kilka dni później dostaję pierwszą wiadomość.

A ona zmienia wszystko.

[...]

Planuję zacząć w poniedziałek, ale nie mam odwagi.

Drugą próbę podejmuję we wtorek, ale nie udaje mi się opuścić domu; za wymówkę mam czytanie koszmarnej książki.

W środę jednak wychodzę na ulicę i ruszam przez miasto.

Dochodzi północ, kiedy skręcam w Edgar Street. Zrobiło się ciemno, a wszystkie latarnie są zepsute. Ocalała tylko jedna, lecz i ona mruga do mnie. Jej blask kołysze się wokół kuli.

Nieźle znam okolicę, bo Marv często tu przyłaził.

Miał dziewczynę przy jednej z tych zaniedbanych ulic. Nazywała się Suzanne Boyd, a Marv chodził z nią jeszcze w szkole. Kiedy jej rodzina spakowała się i wyniosła, niemal bez słowa, był zrozpaczony. Kupił wtedy ten stary samochód, żeby wyruszyć na poszukiwanie

Suzanne, ale nawet nie przekroczył granic miasta. Myślę, że świat wydał mu się zbyt wielki i Marv się poddał. Wtedy właśnie stał się taki skąpy i kłótniwy. Sądzę, że od tamtej chwili postanowił troszczyć się już tylko o siebie. Może. Nie wiem. Nigdy nie myślę o nim zbyt wiele. Taką mam zasadę.

Idąc, przypominam sobie o tym wszystkim, lecz myśli te znikają, gdy zbliżam się do celu.

Docieram do końca Edgar Street, gdzie znajduje się numer czterdziesty piąty. Mijam go, przechodząc po drugiej stronie ulicy, i kieruję się w stronę gęstej kępy drzew. Tam kulę się i czekam. W domu nie palą się światła, a na ulicy panuje cisza. Kawalki farby odpadają z dykty, jedna z rynien prawie przerdzewiała. W moskitierze są dziury. Komary nie dają mi żyć.

„Lepiej, żeby to nie trwało zbyt długo” – myślę.

Mija pół godziny i niemal zasypiam, ale kiedy nadchodzi ta chwila, bicie mojego serca musi się odbijać echem na całej ulicy.

Na chodniku zatacza się mężczyzna.

Potężny mężczyzna.

Pijany.

Nie widzi mnie, gdy potyka się na schodkach prowadzących na ganek, męczy z kluczem, po czym w końcu wchodzi do środka.

W holu zapala się światło.

Drzwi trzaskają.

– Nie śpisz? – bełkocze. – Przywlecz tu zaraz swój tyłek!

Mam serce w gardle. Podnosi się tak wysoko, że czuję jego smak. Jego bicie na języku. Drzę, zbieram się w sobie, znów wstrząsa mną dreszcz.

Księżyc wylania się spomiędzy chmur i nagle czuję się obnażony. Jakby cały świat mógł mnie zobaczyć. Ulica jest niema i cicha. Tylko ten olbrzymi mężczyzna, wpadł do domu i krzyczy na żonę.

W sypialni też zapala się światło.

Zza zasłony drzew widzę cienie.

Kobieta jest ubrana w koszulę nocną, ale mężczyzna przyciąga ją do siebie i brutalnie zrywa okrycie.

– Myślałem, że na mnie czekasz – mówi.

Trzyma ją za ramiona. Dławi mnie lęk. Później facet rzuca żonę na łóżko, rozpina pasek i spodnie.

Leży na niej.

Wchodzi w nią.

Łóżko krzyczy z bólu. Skrzypi i jęczy, lecz tylko mnie dobiega jego skarga. Boże, to ogłuszające. „Dlaczego świat tego nie słyszy?” – myśle. W ciągu kilku chwil wielokrotnie zadaję to pytanie. „Ponieważ go to nie obchodzi” – stwierdzam w końcu i wiem, że mam rację. To tak, jakbym został wybrany. Ale wybrany do czego?

Odpowiedź jest prosta.

Ż e b y m n i e o b c h o d z i ło.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 022 643 93 89, 022 331 91 49,

faks 022 643 70 28

e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 022 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Ecco-Book Cream 70 g/m² wol. 2,0

Redaktor prowadzący **Anna Garbal**

Redakcja **Magdalena Korobkiewicz**

Korekta **Katarzyna Nowak, Joanna Kończak**

Redakcja techniczna, DTP **Agnieszka Dwilińska-Łuc**

ISBN 978-83-10-12801-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków